BEZPŁATNY DODATEK.

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 24. Niedziela, dnia 23-go listopada Rok 1913

TAK BLIZKO!

(OBRAZEK Z ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO.)

(Dokończenie).

— Jasiu, Jasiu! — rzekł Stach do Rymorza — nie wiem, lecz zdaje mi się, że znam ten głos, co mówi: miala i chodzila...

— I ja także — odparł młodszy. — Coś mi to nasz drogi Śląsk przypomina. Zresztą rzecz dziwna, że nie mówią po niemiecku. Ale...

W tej chwili wyraźnie te słowa usłyszano:

— Nu, ja panu Lumpenscheidlowi co powim! Ja nie taki głupi, jak pan Lumpenscheidel miszli! Przecie wszystkie dowody, jak okradliście Zawrałę, mam tu psi sobie w pularesze! Więc niech pan Lumpenscheidel nie żartuje.

— Klupia żid!... chlop dawno poszla z torbami Ja ci dam to pole psi gorze i spolisz te papiery...

— Co ni, to ni! Albo dwadzieścia tysięcy, albo pójdę do prokuratora. Ja pana Lumpenscheidel znalazł teraz w Widniu i wszystko musi być między nami skończone. A, pan chciał i mnie oszukać i uciekł z Cieszyna?

— Ale wisz ty, klupia żid, co i ty także pójdzie ze mną do kryminala?... Pamiętasz... ten falszywa weksel... hę?...

— To pójdę! — odparł żyd zacięty. — Ale i pan Lumpenscheidel ze mną.

Na tym urywku dość było młodym ludziom.

Stach skinął na chorego towarzysza.

— Czy możesz wstać i pójść z nami do tych łotrów? Zaklinam cię, zrób to dla mnie. Chodzi o zwrócenie mienia pokrzywdzonym — rzekł, patrząc błagalnie na leżącego.

— Spróbuję — odparł tenże. — Podajcie mi ubranie.

— Będziesz potrzebował usiąść tylko przy drzwiach i być świadkiem mej z nimi rozmowy.

Za chwilę wszyscy trzej pukali do sąsiedniego numeru.

— Kto tam? — ozwał się żyd.

— Kelner z listem — odpowiedział Stach po niemiecku.

Drzwi otworzono.

Dzielny Ślązak, z nabitym rewolwerem w ręku, wszedł do pokoju, a za nim przyjaciel jego Rymorz.

Chory towarzysz zamknął drzwi na klucz i usiadł przy nich na straży.

Dobrze mówi przysłowie, iż na złodziejach czapka gore.

Bladzi, wylękli, obaj oszuści cofnęli się ku oknu.

Płomień dwóch świec pokazywał przerażone ich miny.

— Nie mam czasu długo z wami się bawić — zawołał Stach po niemiecku. — Jestem dr. Stanisław Bogulik, narzeczony panny Zofii Zawrałówny, i przychodzę żądać, abyście oddali majątek jej ojcu ukradziony. Słyszeliśmy przezedrzwi waszą rozmowę.

Ciufes, przyszły baron von Ciufessen lub Ciufeshof, pierwszy wrócił do przytomności.

Zrobił krok ku ogniowi płonącemu na kominku, dobył jakiś pugilares z kieszeni i chciał go rzucić w zarzewie. Czujny jednak Ślązak nie spuszczał go z oczu.

— Jeśli się ruszysz, łotrze, jak psa cię zastrzelę!

Odwrócił się od przyjaciela, podczas, gdy Lumpenscheidel drżał jak w febrze.

— Kochany Jasiu mój! Gdy my tu tych rozbójników będziemy pilnowali, pobiegnij do policyjnego posterunku, powiedz, żeśmy tu fałszywego bankruta i fałszerza weksli przytrzymali i proś o pomoc zbrojną.

Po nędznikach aż ciarki przeszły na te słowa.

— Chyba, że ci panowie — dodał z uśmiechem — zgodzą się na dobrowolną ze mną umowę.

— Ale czego pan rzeczywiście tu chciala? — jęknął po polsku Sakson. — Co za napaścia na uczciwa obiwatela?

Coś zaszeleściało: Ciufes rzucił pugilares w kominek.

— Ach, ty niegodziwcze! — krzyknął Stach, wyrwawszy go z płomieni i rzucając żydem jak piłką w kąt pokoju.

— Jasiu! Idźże po strażników.

— Na co strażników?... co tu strażników?... niech pan prosto gada, co pan chce odstępnego? Nu, to się po psijacielsku rozmówimy — zawarczał z kąta Ciufes.

— Tak, ja także dacz odstępnego.

— W czyich rękach jest posiadłość Zawrały? — spytał groźnie lekarz.

— Nu, co ja wim?... w dziesiątych już może...

— Ziemia tego verfluchte Zawrala Ciufes kupil sam — przerwał Lumpenscheidel.

— Ach, so? — odparł żyd wściekły prawie. — To ja panom co powim: ten Lumpenscheidel szukany jest teraz za to, co okradł książęca komora. Myśli

drapać z Wiednia do Ameryki i ma całe pieniądze przy sobie.

— A ty gałgan masz fałszywa weksla trzy w pularesa, co u tego Stacha siedzi w kieszenia.

I tak się obaj w uniesieniu zdradzali wzajemnie.

Po długich ceregielach stanęło na tem, iż Ciufes, jako rzeczywisty właściciel posiadłości Zawrały, wystawi akt notaryalny odprzedaży majątku temuż Zawrale, za kwotę 30 000 złr.; że dla formy, wobec notaryusza, kwotę tę pobierze, lecz na wychodnem, w w sieni zaraz, zwróci ją Stachowi, wzamian za ów pugilares. P. Lumpenscheidel zaś, natychmiast 50 000 złr. na stole wyliczy, a choć okradł rolnika na 70 000 przeszło, resztę mu Stach daruje.

Innej rady nie było: albo pójść do kryminału, albo zgodzić się na żądanie lekarza.

Ciufes drżał, aby pugilares nie dostał się w ręce prokuratora; Lumpenscheidel zaś, aby go w Wiedniu, według gończych listów z Cieszyna, nie przytrzymano.

— Więc jutro rano ja przyszla do notaryusza — zakończył Sakson.

— Och nie, mój miły saksoński ptaszku! Teraz zaraz dasz 50 000 złr.; my z Ciufesem do znanego mi urzędnika pójdziemy, a ty... zmykaj sobie w świat szczęśliwie.

— Kiedy ja tyla pienięza nie miała...

— Jasiu drogi — rzekł lekarz znów do Rymorza — racz iść po policyę.

I Niemczysko, sapiąc i szlochając prawie, wyliczył ukradzioną kwotę na stole.

Kieszeń jednak Saksona niezbyt się przez ten wydatek uszczupliła; musiał widać przez te lat kilka znów zaoszczędzić sobie coś podrodze.

Potem pojechano do znanego Stachowi notaryusza i mimo późnej już pory, akt prawny sporządzono. Stach zapłacił 30 000 na stole.

W sieni Ciufes, jakby go paliły te pieniądze, rzucił je prawie napowrót lekarzowi, pugilares zaś, z widoczną radością schował do obszernej kieszeni.

Musiały w nim być, prócz tych fałszywych weksli, różne inne jeszcze, równie ładne dokumenta.

VI.

Na pięć dni przed terminem powrotu do Opawy, zacny Ślązak, zostawiając swych chorych jednemu niemieckiemu koledze, pojechał do Cieszyna, zaintabulować znów posiadłość ową na imię dawnego jej właściciela Zawrały.

Za dość grube odstępne, z własnej kieszeni wyłożone, wymógł na dzierżawcy, iż opróżniwszy natychmiast piękny dom Zawrały, przeniósł się tymczasowo do jego domku w sąsiedztwie. Odnalazł część męskiej i kobiecej dawnej posługi, inwentarz zaś był prawie nienaruszony. W cegielni, jak dawniej, wyrabiano materyał budowlany; szumiały wysokie jodły na pagórkach, szemrały śliczne w podwórzu topole.

Późna już jesień była i dobrze chłodnawo na dworze, ale słońce złociło urodzajne pola i jak dawniej, białe dymy wiankiem otaczały strzechy pracowitych górali.

Potem zatelegrafował do Opawy, na Raciborskie przedmieście, aby cała rodzina przyjechała i dla wiadomych mu, a później wyjaśnić się mających powodów, wzięła bilety z Bogumina, wprost przez Cieszyn do Bystrzycy, przystanku nowej koszyckiej węgierskiej drogi.

Stary Zawrała, dając sobą kierować jak dziecko, do ostatka złamany swą ślepotą, nie pytał nawet dokąd go wiodą.

— Do doktora — rzekły mu zresztą córka i żona i to mu wystarczało.

Zosi tylko biło serduszko na myśl, że swego Stacha znów obaczy, na myśl, że je obie wzywa pewno do swej chudoby pod Kozubową.

I stanął pociąg w Bystrzycy na chwilę: wysiadła z nich rodzina Zawrałów, a bystre koniki pięknym koczem powiozły ich do wsi tak dobrze znanej.

— Ale cóż to, Stachu! — rzekła matka, — to nasz powóz dawny i... nasze nawet konie.

— A i Antek powozi! — szepnęła Zosia. — Tylko, że wyrósł i zmężniał nie do poznania.

— Tak, to ja, moje drogie gaździny! — krzyknął chłopak wyrostek, poganiając cożywo dzielne bułane.

Gdy zajechano przed ganek, obie kobiety, jak błędne, nieprzytomne prawie, weszły do pokoju.

Wtedy Stach wskazał palcem na Zawrałę, przyłożył go do ust potem i skinął na matkę i Zosię, aby z nim wyszły do saloniku.

Tam wręczył im akt notaryalny, a 50 000 w gotówce, i opowiedział, jakiem dziwnem zrządzeniem losu wpadł na trop dwóch łotrów w Wiedniu.

. . . .

. . . .

Nazajutrz rano zjawił się pomocnik lekarza z instrumentami i w kilka godzin operacya została ukończoną. Założono choremu mocną czarną opaskę w kształcie kaptura na głowę.

Obie niewiasty, modląc się, wisiały Stachowi wzrokiem na ustach.

— I cóż?... czy przejrzy przecie?...

— Za trzy dni... zobaczymy.

— Ale jak myślisz, Stachu?

Wzruszył Ślązak ramionami.

— Ja — rzekł — zrobiłem swoje. Reszta... w ręku Boga!

I znów trzy dni i trzy noce męki, trwożnego wyczekiwania.

Skracano sobie czas oglądaniem na nowo wszystkich kątów domu.

* * *

Przyszła nareszcie uroczysta chwila.

W pokoju ze starannie zasłoniętemi oknami posadzono Zawrałę twarzą do światła, w miękkiem, ulubionem mu niegdyś krześle.

Stach pewną ręką zdjął kaptur z czoła rolnika i skinął jednocześnie, by rozsunięto trochę gęste okien opony.

— Patrzcie prosto przed siebie, panie Zawrała! — zawołał, zwracając głowę chorego ku dużemu oknu świetlicy.

— Boże! Boże!... ja widzę... widzę znów!... Ale gdzież jestem? — krzyknął ojciec Zosi. — Boże! Dyć to moja tu chudoba i tam... nasze góry!...

I wodził po nich, jak błędny oczami.

Wtedy Zosia położyła przed nim na stole akt notaryalny i 50 tysięcy reńskówek przy nim.

— A to... co to takiego, dziewucho?

— To, tatku, wasze mienie.

— Moje? Jakie moje?... — bełkotał stary. — Przecie te Lumpenscheidle i Ciufesy... niech ich...

Nie dokończył.

Szlachetne dziewczę, promieniejące szczęściem, porwała lekarza za rękę i pociągając go ku ojcu:

— Pamiętasz, tatku — szepnęła ze łzą szczęścia w oku — jak mi mówiłeś zawdy w Opawie: „So sind

die Polen, meine Liebe!" Otóż tatku, ja ci dziś odpowiem: to Stach nasz poczciwy; on ci wrócił i wzrok i mienie całe. Tacy to, tatku, są Polacy!

Stach wtedy podszedł bliżej i rzekł rolnikowi:

— Widzicie, panie Zawrało, obaj szukaliśmy szczęścia daleko. Ty u Niemców, ja aż po całym świecie; a jednak, jak widzisz, to szczęście było nas „tak blisko!"

P. S. Wiedząc, iż czytelniczki nasze nie zadowolą się takiem zakończeniem, z prostej grzeczności i względów należnych niewieściej ciekawości, dodam jeszcze co następuje:

Stach i Zosia mieszkają w Wiedniu; znakomity bowiem okulista, śród śląskiego ludu, mającego oczy prawdziwie sokole, musiałby siedzieć z założonemi rękami.

Za to przyjaciel jego, dr. Jan Rymorz, osiedlił się w Cieszynie i zwiększał grono szermierzy polskości, pracując chlubnie w swym zawodzie.

Przełożony gminy Zawadny, sławny ów swego czasu polakożerca, za jakieś tam kulturalne nadużycia wysiedziawszy rok w kryminale, ukrył się w swej chudobie, jak w myszej jamie. Wyśmiany przez Niemców, wzgardzony od rodaków, nie dostawszy nawet obiecanego krzyżyka i utraciwszy połowę mienia, z łotrami i pijakami teraz już tylko się zadaje.

Stara Zawrałowa jeździ na część zimy do dzieci swych do Wiednia, a oni znów, najwięcej zaś Zosia, część lata spędzają w górach.

I wszyscy są zdrowi, raźni i weseli.

Młodym małżonkom rosną dwa dziarskie małe zuchy, a matka zawczasu uczy ich przywiązania do rodzinnej gleby.

Tylko Zawrała zawsze jeszcze niezbyt garnie się do ludzi.

Zajęty jednak znojną pracą około roli, gdzie może, tajemnie wspiera świętą narodowości sprawę; przy wyborach, własnym groszem, za narodowcami agituje, ale... nie lubi, by go za to chwalono. Gdy zaś pochlebne słówko usłyszy, powiada ze szczerem westchnieniem i skruchą:

— Byłem tym złym ptakiem, co własne gniazdo kala, dziś spełniam tylko swój obowiązek, nic więcej!

KONIEC.

WYCHOWANIE DZIECI.

Istota ludzka składa się z trzech różnych od siebie części: ciała, umysłu i ducha, i dlatego w tych trzech kierunkach rozwijać się musi.

Człowiek przychodzi na świat całkiem niedołężny. Każde stworzenie dorasta daleko prędzej, aniżeli człowiek. Są zwierzęta, które natychmiast po odłączeniu się od matki zaczynają żyć samodzielnie i starają się o pożywienie, jak pająki, węże. Inne znowu, ptaki, czas jakiś potrzebują starań rodzicielskich, aby nabrały sił i umiejętności życia. Ssaki zaś w młodości wymagają nawet osobliwego pokarmu w postaci matczynego mleka, bo innego pożywienia nie są zdolne strawić.

Ale najsłabszem i najbardziej niedołężnem stworzeniem w dzieciństwie jest człowiek.

I między ludźmi są różne stopnie tego niedołęstwa. Im dziecko jest troskliwiej pielęgnowane przez matkę i otoczenie, tem dłużej zostaje w tym stanie niezaradności. Dzieci ludzi bogatych, otaczane mamkami i niańkami są często tak niezaradne, że ubrać się same nie potrafią nieraz do 7 lub 8 lat życia, to jest do czasu, gdy wiejskie dziecko nieraz już jako pastuszka lub pastuszek na chleb zarabiać umie.

U dzikich ludów, które jeszcze mniej pieczy potomstwu dają, dzieci w trzecim, czwartym roku, zostawione same sobie, wyszukują już odpowiedniego pożywienia, zbierając owoce, jaja itp.

Naturalnie, że przez odpowiednie pielęgnowanie zdrowie dzieci zyskuje, przez zaniedbanie zaś wiele dzieci zapada na różne choroby i ginie. Śmiertelność między takiemi dziećmi jest większa, niż między dziećmi pieczołowicie chowanemi.

Jak przesada w opiece i pielęgnacyi, tak i zaniedbanie w wychowaniu źle oddziaływa na dalsze życie dzieci. Im naród mniej jest oświecony, tem mniej poczuwa się do potrzeby troskliwej opieki nad ciałem dziecka, o ducha i umysł nie dba wcale, zostawiając ukształcenie ich własnemu popędowi w dalszem życiu.

My, jako ludzie oświeceni i myślący, inne mamy zapatrywania na rzeczy. Głównie wychowanie dzieci należy do matki, ponieważ ona najczęściej z niemi przebywa i najwięcej czasu ofiarować im może. Nie dowodzi to jednak, aby ojciec usuwał się od tego obowiązku; owszem, i on winien pomagać w wychowaniu dziatwy czynem i radą.

Wychodząc z trojakich czynników, składających istotę człowieka, każdemu z nich, a więc ciału, umysłowi i duchowi osobliwą uwagę poświęcamy. Dlatego też wychowanie dzieci dzielimy na trzy części: na wychowanie ciała czyli fizyczne, wychowanie umysłu czyli naukowe i wychowanie ducha czyli moralne.

Najpierw poświęcamy pieczę wychowaniu fizycznemu, bo w młodym organizmie duch i umysł śpi jeszcze, podczas gdy potrzeby cielesne objawiają się od pierwszej chwili życia.

Dziecko zaraz po urodzeniu zaczyna oddychać, potrzebuje snu i pożywienia. Na te więc trzy punkty powinna zwrócić się szczególna piecza matki. Powietrze, które odżywia nasz organizm, przez odświeżanie tlenem krwi, wchodzi przez płuca i skórę. Aby tedy dziecko mogło swobodnie oddychać i nabierać przez to siły do życia, nie trucizny, matka powinna się starać, żeby powietrze w izbie, gdzie się znajduje dziecko, było koniecznie czyste. W tym celu należy mieszkanie często przewietrzać przez otwieranie okien lub drzwi, przyczem w zimie dziecko przenieść na czas przewietrzania do drugiej izby lub umieścić gdzie w kąciku zacisznym np. na łóżku od ściany za poduszkami, zasłoniwszy jaką płachtą (tylko nie bezpośrednio na buzię, aby się nie udusiło), żeby zimny prąd powietrza zanadto je nie owionął. Potem drzwi zamknąć i dziecię odsłonić. Lepiej często otwierać na krótko, niż rzadko na dłużej, żeby raptem powietrza bardzo nie oziębić.

Żeby znowu odświeżanie krwi, czyli przedech przez skórę uczynić dostępnem należy starać się o to, aby otworki, czyli pory w skórze były nie pozatykane tłuszczem i brudem. W tym celu trzeba dziecię myć porządnie, nacierając ciałko namydlonym płatkiem i spłukiwać czystą wodą, co najłatwiej uskutecznić w kąpieli. Nie trzeba nigdy dziecku żałować kąpieli; nie zaszkodzi mu ona, jak niektóre baby utrzymują, byle tylko nie była za gorąca albo za zimna, a co głównie, żeby dziecko w niej długo nie siedziało. Umyć dziecię, opłukać, a wyjąwszy obetrzeć do sucha i ubrać w bieliznę, co razem nie powinno trwać dłużej niż pięć minut.

Długie moczenie ciałka osłabia i usposabia dziecko do zaziębienia, gdy krótka kąpiel orzeźwia i rozgrzewa.

Należyty spoczynek we śnie zapewnia się dziecku wtedy: gdy nie jest ono ściśnięte powijakami i pieluchami, lecz w powiciu swobodnie poruszać się może; gdy pieluchy nie są grube i twarde, aby delikatnego ciałka nie uwierały; gdy dziecko zawsze ma sucho i pilnie strzeżone jest przed odparzeniem. Nareszcie bardzo ważną rzeczą jest utrzymanie w porządku kolebki, żeby w niej nie gnieździły się pluskwy, pchły i inne robactwo, które i staremu sen zakłócają. Gdy dziecko śpi, trzeba mu zapewnić spokój: nie siekać, nie rąbać, nie kołatać, nie krzyczeć, bo szczególniej nagły hałas może dziecko nietylko obudzić, ale przestraszyć, często z niebezpiecznemi następstwami, jak konwulsye. Uważać też należy, aby rażące światło nie padało dziecku na oczki i aby w lecie muchy go nie obsiadały.

Najlepiej dziecka nie kołysać wcale, bo tem nie robimy mu krzywdy, a sobie wielką zapewniamy wygodę i oszczędność czasu. Skoro bowiem dziecko przywyknie do spania spokojnie, można je byle gdzie położyć i nie trzeba ślęczyć całemi godzinami nad kołysaniem, co osobliwie w czasie pilnej roboty lub w nocy daje się odczuć. Jeżeli jednak nie możemy się pozbyć tego złego zwyczaju, należy uważać, aby w czasie snu lub po przebudzeniu się, zwłaszcza starsze dziecko z kolebki nie wypadło. Więc kolebkę trzeba zawsze tak postawić, aby się przechylić nie mogła, najlepiej między łóżkiem a ławą lub co najmniej podłożyć pod bieguny drewna. Ile to bowiem dzieci powypadało z kolebki, potłukło się boleśnie lub nawet kalectwa nabawiło!

Najzdrowszem pożywieniem dla dziecka jest mleko matki, byle tylko podawane mu było jak należy, więc nie zaczęsto i nie za rzadko. Matki nasze grzeszą najczęściej tem, że okarmiają dzieci zanadto, mówiąc zwykle: „Czemu mam żałować, kiedy mię nie kosztuje; niech się naje."

Nie wiedzą one o tem, że robią tem właśnie dziecku krzywdę. Przepełniony żołądek przeszkadza mu spać; dziecko jest niespokojne, budzi się i krzyczy, bo ma boleści w brzuszku. Nieświadoma matka, zamiast cierpliwie znieść skutki swej winy, przeładowywa dziecko znowu, przypisując niepokój jego głodowi; znowu wtyka mu pierś w buzię i tem dolewa oliwy do ognia, narażając dziecko na nowe zaburzenia w żołądku.

(Dokończenie nastąpi.)

O NIEWOLNIKACH W RZYMIE.

Najpotężniejszem państwem przed Narodzeniem Chrystusa, t. j. w starożytności, był Rzym.

Rzymianie prowadzili wiele wojen i zagarnęli dużo sąsiednich państw, tak że rzucali postrach na całe wybrzeże morza Śródziemnego. Po wojnach ogromne obszary ziemi przeszły na własność rodzin, pochodzących od zasłużonych mężów rzymskich. Rodziny te tytułowały się „nobilami", to znaczy szlachtą.

Nobile zaczęli zaprowadzać u siebie w majątkach gospodarstwa na wielką skalę: sadzili wino, drzewa oliwne, hodowali ptactwo itd. Do roboty tej nie najmowali ludzi wolnych, którym trzeba było płacić; szukali najtańszego robotnika — niewolników, którym dość było zapewnić utrzymanie i dach nad głową.

Niewolników można było kupować w ogromnej ilości. Każda wojna pociągała za sobą sprzedaż mnóstwa jeńców: nadto na morzu Śródziemnem rozbójnicy morscy chwytali ludzi po wsiach nadbrzeżnych. Wszystkich tych nieszczęśliwych jeńców przywożono partyami na rynki. Na wyspie Delos, gdzie był właśnie jeden z tych rynków niewolniczych, w ciągu jednego dnia wysadzono na brzeg, sprzedawano i pod wieczór wywożono na innych okrętach blisko 10 000 niewolników.

Rzymianie, naród surowy, okrutnie obchodzili się z niewolnikami. Toć niewolnik nie jest człowiekiem, mówili oni, raczej narzędziem gospodarskiem. Są narzędzia nie mówiące, np. pług, są napół mówiące — bydło; są też i obdarzone mową ludzką — takiem właśnie jest niewolnik.

Niewolnikom w wielkich majątkach nie wolno było zazwyczaj zakładać sobie rodziny; mieszkali oni w koszarach. Winnych jakiego przestępstwa zakuwano w dyby i wrzucano do więzień, gdzie do wąskich wybitych w ścianie okien, z podłogi nie można było sięgnąć. Wypuszczano ich na robotę oddziałami, niekiedy w kajdanach. Na czele podążał dziesiętnik z batem lub zaostrzonym kijem do poganiania leniwych.

W wielkim majątku liczba niewolników dochodziła niekiedy do kilku tysięcy. Gospodarz usiłował odjąć im wszelką możność porozumiewania się ze światem — nie dopuszczał nikogo obcego na podwórze. Niewolnicy sami sporządzali sobie odzież i naczynia. Wielki warsztat niewolniczy w majątku przezwano fabryką. Przy bramie od podwórza siedział odźwierny i bacznie pilnował wchodzących, nad bramą zaś w wielkim domu wybite było okno, przez które spoglądał administrator, pilnując jednocześnie i odźwiernego.

Rzymianie kochali się w igrzyskach. Do igrzysk używano także niewolników, których uczono w specyalnych szkołach. Tacy wyćwiczeni niewolnicy nazywali się „gladyatorami". Walczyli oni na arenie cyrkowej pomiędzy sobą, albo z dzikiemi zwierzętami. Nieraz w igrzyskach brało udział 10 000 gladyatorów.

Panowie tłómaczyli swoje okrutne obchodzenie się z niewolnikami tem, że jest tych niewolników wszędzie moc, że są to cudzoziemcy, ludzie odmiennej rasy i mowy, że niepodobna utrzymać wśród nich porządku inaczej, jak postrachem. Wypadki zamordowania pana przez niewolników trafiały się często. Dlatego nobile, zasiadający w senacie, wydali specyalne prawo w celu nastraszenia ich, gdy okaże się, że pan został zamordowany we własnym domu lub w podróży, winni być poddani torturom i skazani na śmierć wszyscy niewolnicy, którzy mieszkali w domu zabitego lub towarzyszyli mu w drodze, nawet gdyby ogólna ich liczba wynosiła kilkadziesiąt lub kilkaset ludzi.

Słowo to miecz,
Więc też niem siecz!
Matactwo bij,
Lecz prawdę czcij!

